GOSPODARKA NAROWODA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 WRZEŚNIA 1936 R.

Nr. 18 ROK VI

KONIUNKTURA ŚWIATOWA
ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

„ENTUZJAZM"
JAN ZADORA

PRYMAT GOSPODARCZY KREDYTU
WITOLD PTASZYŃSKI

UWAGI
WIELKIE I MAŁE MIASTA
CHŁOPI IDĄ...
KŁOPOTY ZWYCIĘSTWA

UKRAIŃCY
KAZIMIERZ BRODNICKI

NOTATKI
KOLEJE
HANDICAP
INWESTYCJE HOTELOWE
ULGA KOLEJOWA 0%

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. GR. 50

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 18

1936 R.

15 — IX

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

KONIUNKTURA ŚWIATOWA

Poprawa koniunktury światowej nie jest wynikiem czystego automatyzmu procesów gospodarczych. Nie należy też liczyć, że ta poprawa automatycznie bez naszego wysiłku spowoduje likwidację kryzysu w Polsce.

Świat zaczyna wychodzić z kryzysu. To już chyba nie ulega wątpliwości. Wzrastają wskaźniki produkcji przemysłowej, rosną obroty międzynarodowej wymiany towarowej i idą w górę ceny.

Świat przechodził kryzysy gospodarcze nie raz, więc nie jest nowością dla ludzkości, że kryzys się kończy. Ale warunki i okoliczności w jakich to się odbywa obecnie nie mają precedensu w przeszłości. Literatura i publicystyka ekonomiczna w przeciągu ostatnich lat zużyły stosy papieru na rozważanie przyczyn ostatniego kryzysu oraz osobliwości jego przebiegu. Dołączmy teraz do tego uwagi o osobliwościach zakończenia kryzysu i objawów poprawy.

Zróbmy przede wszystkiem zastrzeżenie co do sensu terminu „koniunktura światowa". Była w naszej publicystyce polemika na temat: istnieje czy nie istnieje *rynek światowy i cena światowa*. Wysuwano w tej sprawie poważne wątpliwości powołując się na transakcje wiązane, clearingi, dumpingi i t. d. Wszelkie terminy naukowe są rzeczą umowną. Nie wydaje się rzeczą metodologicznie słuszną dyskutować o istnieniu lub nie istnieniu np. rynku światowego. Dokąd istnieje wymiana międzynarodowa, dotąd ten rynek istnieje. Ale treść tego pojęcia zmienia się w miarę jak zmienia się treść i formy działalności gospodarczej społeczeństw ludzkich.

Uwagi powyższe dotyczą w pełnej mierze pojęcia „koniunktura światowa". Treść tego pojęcia jest dziś zupełnie odmienna od treści wkładanej w to słowo w XIX w. Jeśliby się ktoś uparł, żeby rozumieć to słowo wyłącznie tak, jak je rozumiała klasyczna ekonomia, to chyba musielibyśmy stwierdzić, że koniunktury światowej dziś nie ma.

Rzecz bowiem w tym, że autarkizacja gospodarki poszczególnych organizmów narodowo - państwowych poczyniła w okresie kryzysu olbrzymie postępy i koniunktura światowa ma dziś o wiele bardziej charakter mechanicznej sumy koniunktur autarkicznych organizmów niż jednolitej całości, jak to było w okresie panowania liberalizmu gospodarczego. Procesy poprawy gospodarczej zaczęły się od t. zw. nakręcania koniunktury gospodarczej w poszczególnych krajach, przebiegały początkowo niemal niezależnie od siebie, a dopiero w miarę osiągania dodatnich rezultatów i wzrastania liczby krajów, stosujących tę politykę, zaczęło się oddziaływanie na sytuację w innych krajach a tym samym na kształtowanie się koniunktury światowej.

Uogólnienie powyższe wymaga omówienia dotyczącego Anglii i bloku sterlingowego. Angielska polityka gospodarcza, oczywiście nie podpada pod określenie „nakręcania koniunktury". Niemniej jednak poprawa gospodarcza w Anglii nie jest wynikiem

czystego automatyzmu procesów gospodarczych. Została ona spowodowana *nie przymusową* dewaluacją funta i kurs funta był przez cały czas regulowany odpowiednio do celów polityki gospodarczej. Refleksy angielskiej polityki gospodarczej, mimo olbrzymiego ciężaru gatunkowego W. Brytanii, jako czynnika gospodarczego, miały jednak zasięg stosunkowo ograniczony i większego wpływu na koniunkturę światową dewaluacja funta nie wywarła. Nie miała tego zresztą wcale na widoku. Był to także sposób ratowania się na własną rękę, jak i odgradzanie się od rynku światowego Niemiec czy Włoch, sposób jedynie możliwy dla Wielkiej Brytanii, która jest zbyt skomplikowanym organizmem politycznym i gospodarczym by mogła stosować metody praktykowane na kontynencie. Wielka Brytania ma granice zbyt rozległe oraz zbyt nieokreślone politycznie i gospodarczo, by można było te granice zamknąć, a władza państwa na olbrzymich terytoriach Imperium przechodzi za dużo odcieni — od wszechwładztwa do fikcji — by można było ingerować w życie gospodarcze bezpośrednio. Ingerencja taka jest w szerokim zakresie możliwa tylko w państwach politycznie i gospodarczo jednolitych.

Kończąc tę długą lecz konieczną dygresję, stwierdzamy, że okres gospodarowania pod hasłem „ratuj się kto może" zaczyna się kończyć i mechanizm gospodarki światowej zaczyna funkcjonować znów, ale jest znacznie zmieniony. Z jednej bowiem strony zmienioną została wybitnie struktura gospodarcza wielu poszczególnych organizmów narodowo państwowych, a z drugiej strony ciężar gatunkowy tych co ratowali się sami najskuteczniej, wybitnie wzrósł. Najważniejszym wydaje się fakt, że postępów dokonanych w dziedzinie autarkizacji gospodarczej w czasie kryzysu nie zrzeknie się dziś nikt, gdyż byłoby to marnotrawstwem zużytej energii i kapitałów, a ponadto rezygnacją z ważkiego czynnika odporności militarnej. Tym samym zakres pojęcia „koniunktura światowa" musi ulec ograniczeniu, gdyż szereg procesów gospodarczych w poszczególnych krajach został trwale wyłączony z mechanizmu gospodarki światowej, traktowanej jako organiczna całość, a nie mechaniczna suma zjawisk gospodarczych w różnych częściach globu.

Opisany powyżej mechanizm postępującej likwidacji kryzysu gospodarczego stanowi, naszym zdaniem, doniosły etap w dziejach ludzkości. Nie wdając się w przytaczanie i krytykę poszczególnych teoryj wyjaśniających przyczyny i mechanizm kryzysów gospodarczych, możemy powiedzieć po prostu, że kryzys zawsze i wszędzie jest skutkiem błędnych dyspozycyj gospodarczych. Kryzys w epoce liberalnej był wynikiem błędów niezliczonej ilości „ludzi gospodarujących", podlegał prawu wielkich liczb i miał charakter procesu przyrodniczego, nie zależnego od woli ludzkiej. Podobnież i likwidacja kryzysu. Kryzys ostatni miał miejsce w epoce gospodarki związanej i był skutkiem błędów stosunkowo niedużej liczby wielkich dysponentów kapitalistycznych. Ograniczona liczba dysponentów wykluczała działanie prawa wielkich liczb i odebrała kryzysowi charakter zjawiska żywiołowego, działającego z koniecznością przyrodniczą. Automatyczne procesy gospodarcze, likwidujące kryzys w epoce ubiegłej, nie następowały, bo dysponenci gospodarki związanej chociaż nie mogli opanować kryzysu mieli jednak dość sił by przerzucić jego ciężar na konsumentów, pracowników, państwo i wolno konkurencyjne warsztaty pracy. Uniknąwszy w ten sposób bankructwa wielki dysponent prywatno - kapitalistyczny tracił zainteresowanie dla walki z kryzysem.

W takiej sytuacji na arenę działalności gospodarczej wystąpiło państwo, przejmując dyspozycję w swoje ręce. Polały się wówczas rzeki atramentu by wykazać, że państwo nie nadaje się do tej roli. Rzeczywistość jednak wykazała naocznie, że świadoma i rozumna wola ludzka może pokierować procesami gospodarczymi wielkich organizmów narodowo - państwowych i osiągnąć pożądane rezultaty. Gospodarka regulowana i koordynowana w pełni zdała egzamin. Poprawa sytuacji gospodarczej w szeregu państw, które podjęły walkę z kryzysem w oderwaniu od koniunktury światowej zaczyna dziś oddziaływać dodatnio na tę koniunkturę. Cała ludzkość zaczyna dzisiaj korzystać z rezultatów udanych wysiłków i eksperymentów. W tym sensie — koniunktura światowa istnieje.

Konstatując z wielką satysfakcją tryumf ludzkiego rozumu i woli nad żywiołowym i nieopanowanym dotychczas przebiegiem zjawisk i procesów gospodarczych, wyrażamy równocześnie żal, że przyczyniliśmy się do tego tryumfu chyba tylko swymi błędami. Nie należy oczywiście wyciągać wniosku, że państwo działając jako dysponent gospodarczy, może zapobiec powstawaniu kryzysów gospodarczych raz na zawsze. Powiedzieliśmy, że kryzys jest wynikiem błędnych dyspozycyj, a ponieważ człowiek jest omylny, to dyspozycje państwa mogą być również błędne. Wykluczone jest jednak by państwo trwało zbyt długo przy swych błędach, gdyż całość gospodarstwa narodowego zawsze traci na kryzysie. Dysponent prywatny zaś może trwać przy swej polityce bardzo uporczywie, jeśli osobiście na tym nie traci. Exemplum polityka karteli w okresie kryzysu.

Poprawa koniunktury światowej odbiła się korzystnie również i na polskim gospodarstwie narodowym. W obliczu morza naszej nędzy i ogromu naszych potrzeb poprawa ta jest znikoma. I nie łudźmy się, że możemy zbyt wiele skorzystać na tej poprawie bez własnego wysiłku i *ryzyka*. Sam tylko rozwój koniunktury światowej przy tym stopniu autarkizacji gospodarstw narodowych, jaki ukształtował się podczas światowego kryzysu gospodarczego nie wyholuje nas na wyżyny dobrobytu i nie zlikwiduje naszych stałych strukturalnych niedomagań gospodarczych. Stworzone zostały tylko warunki do dokonania tego szybciej i łatwiej.

Reszta zależy od nas.

JAN ZADORA

„ENTUZJAZM"

Podniosłe nastroje entuzjastyczne wśród mas powstają tylko wówczas, kiedy masy te stoją w obliczu prawdziwie wielkich przemian, dających nadzieję radykalnego polepszenia bytu tych mas.

Zaczęło się wszystko od... Goebelsa. W myśl starej, polskiej zasady: Ex Germania lux. Mógł sobie Mussolini już od lat grać na nerwach tłumów na Piazza Venezia i wykrzesywać z mas włoskich iskry niebywałych entuzjazmów, ale dla „rozsądnej" Polski pozostawał on zawsze czemś w rodzaju demagogicznego uzurpatora, którego na serjo brać nie sposób. Tym bardziej, rzecz prosta, nie przemawiał do naszego przekonania Internacjonał, Magnitogorsk, pierwszomajowe parady na Czerwonym Placu — i cały nastrój komunizmu rosyjskiego. Dopiero, kiedy dr. Goebels...

...Trudno. Lepiej się uczyć od Niemców niż nie uczyć wcale. Po wielu wycieczkach, meczach sportowych, wizytach oficjalnych i mniej oficjalnych zdecydowano, że w Polsce jest stanowczo za mało entuzjazmu... W pewnym bardzo poczytnym dzienniku po odejściu na dłuższy urlop redaktora naczelnego, reprezentującego „mędrca szkiełko i oko", przyszła kolej na — „romantyczność". Wysunięto program oparty na nakręcaniu konjunktury i — entuzjazmie. Entuzjazm takiż ma towarzyszyć budowie rzeźni albo powiększeniu szpitala w pewnym wielkim mieście — w myśl zaleceń zarządu tego miasta. Przy każdej okazji i każdemu „gotuje się entuzjastyczne przyjęcie". W tej powodzi zatracają się te momenty, kiedy naprawdę wyrażenie głośniejsze pewnych nurtujących społeczeństwo uczuć wydaje się wskazanym. Jeżeli co jest w Polsce prawdziwie popularne, to chyba armia i jej wódz...

Wszystko to razem byłoby tylko drobną śmiesznostką, gdyby mimo woli nie przychodził tu na myśl sarkazm wielkiego Juliusza. Mimowoli ciśnie się do głowy zdanie o „pawiu narodów i papudze". Nie chce się wprost wierzyć, jak mało u nas rozumie się źródła prawdziwego nastroju entuzjazmu w masach — i jak beztrosko chce się przypinać ów kwiatek uczuciowy do kożucha naszej rzeczywistości. Wydaje się niektórym, że tłum ryczy przed pomnikiem Wiktora Emanuela tylko dlatego, że podesta rzymski wydał w tym celu właśnie odezwę. Że Norymberga trzęsie się od okrzyków z rozkazu Reichsministra des Innern... Bierze się zewnętrzne objawy pewnych procesów w społeczeństwach, które się obserwuje, i zapomina się o wewnętrznych motorach, które procesy te wywołały. Wychodzi i śmiesznie — i niesmacznie — i głupio...

*

Trzeba sobie raz na zawsze powiedzieć, że entuzjazm w społeczeństwie jest do wywołania bardzo trudny. Nie dlatego, że społeczeństwo jest „suche", „zimne" czy „obojętne". Społeczeństwo jako olbrzymie zbiorowisko bardzo różnych jednostek jest do poruszenia trudne dlatego, iż ruszyć je może tylko coś takiego, co by dla *wszystkich* było zupełnie zrozumiałe i w równym stopniu porywające. Powiada się, że Warszawa jest zimna. A przecież czterdzieści tysięcy ludzi na meczu piłki nożnej z drużyną niemiecką dosłownie szalało w ciągu półtora godzin... Dlaczego? Bo wszyscy rozumieli, o co w danej chwili chodzi, i wszyscy chcieli, aby polska drużyna wygrała. To już wystarczyło.

Piłka nożna może poruszyć czterdzieści tysięcy entuzjastów. Po to, aby poruszyć miliony trzeba mieć obiekt nieco już szerszych rozmiarów niż ambicja sportowa. Obiekt ten zmienia się zresztą niesłychanie w zależności od stopnia nasycenia społeczeństwa w jego potrzebach najbardziej podstawowych. Gdyby, powiedzmy, rząd francuski w tej chwili operował hasłem „chleba i pracy dla wszystkich", nie mógłby wzbudzić żadnego entuzjazmu. Chleb już Francuzi mają, a chociaż pewna ich garść pracy przejściowo nie ma, za mało jest to jeszcze dla poruszenia uczuć całego narodu francuskiego, narodu *posiadaczy*. Ale hasło „chleba i pracy dla wszystkich", rzucone tylko jako hasło—jest za słabe i dla innych, mniej szczęśliwych krajów. Trzeba zrobić coś, aby ten chleb i ta praca istotnie były. Roboty publiczne w skali z konieczności ograniczonej mogą zapobiec rozruchom bezrobotnych. Ale entuzjazmu nie stworzą. Roboty publiczne dają dniówki — ale nie dają nadziei. Nadziei na to, że dniówki te będą trwały i, co ważniejsze, że człowiek, pracujący przy tych robotach, ma jakąś iskierkę nadziei jakiegoś, choćby najbardziej odległego ustabilizowania swojej przyszłości na jakimś wyższym poziomie. Entuzjazm żołnierzy napoleońskich opierał się — mówi nam legenda — na buławie marszałkowskiej w każdym tornistrze. Entuzjazm człowieka najcięższej, najlichszej pracy, opierać się musi chociażby na posiadaniu jednej własnej izby, jednego obiadu dziennie i całej koszuli dla siebie, żony i dzieci. To już będzie widmo pewnego awansu społecznego dla człowieka, który nie posiada nic. To już może dać zarodek — entuzjazmu, entuzjazmu dla czegoś, co ten awans doń przybliży.

Obok „entuzjazmu" pojawił się w naszych dyskusjach również i „mit społeczny". Że niby musi istnieć coś takiego dla podtrzymania ducha w narodzie. Nie jest zrozumiałe, dlaczego właściwie w Polsce ma to być „mit"?... Bo — ostatecznie — we Francji (pozwólmy sobie znów na porównanie) moż-

na operować już w tej chwili hasłami najczystszego socjalizmu bez obawy wpadnięcia w przesadę. Jeszcze kilka posunięć — a socjalizacja środków produkcji może stać się faktem dokonanym. W Polsce chwilowo nie potrzeba nawet mówić o socjalizacji fabryk. Wystarczy chwilowo zlikwidowanie bezrobocia. Albowiem tak się składa, że zlikwidowanie go — a mówimy, rzecz prosta, nie tylko o statystycznym bezrobociu rejestrowanym — *musi* pociągnąć za sobą tego rodzaju przemiany strukturalne w naszym gospodarstwie, które starczą za program integralnego socjalizmu na co najmniej całe pokolenie. My właśnie jesteśmy w tym położeniu, że zagadnienia struktury gospodarczej przybierają aspekt rewolucyjny i rewolucjonizujący — same przez się. Bez żadnej treści rewolucyjnej w teorii czy programie. Już Włochy musiały do wielkich reform społecznych i gospodarczych faszyzmu dodać nimb ekspansji włoskiej na morze Śródziemne, nimb wielkiej wojny kolonialnej i zamorskich podbojów. My chwilowo możemy być skromniejsi. U nas entuzjazm wywołany być może o wiele „spokojniejszymi" środkami.

*

Ale trzeba sobie powiedzieć jedno: nie wywoła w społeczeństwie entuzjazmu polityka drobnych zwycięstw i ciężkiej obrony przed rzeczywistością. Nie wywoła dlatego, że w Polsce entuzjazm jest do wywołania trudniejszy niż gdzieindziej. Chociaż dla niejednego z nas będzie to herezją, a dla wszystkich — wielkim bólem, trzeba sobie otwarcie powiedzieć, iż nawet w okresie olbrzymiej przemiany, w okresie wskrzeszenia Państwa *powszechnego* entuzjazmu — brakło. Przypomnijmy sobie dokładnie skład armii ochotniczej w 1920 r., a zobaczymy, kto był wówczas w Polsce entuzjastą, a kto pozostawał... wyczekujący. Można to było wówczas przypisywać skutkom okresu rozbiorowego. Ale — wiemy to dobrze — w ciągu lat ostatnich szerokie masy ludności, zwłaszcza wiejskiej, nie zbliżyły się do idei państwowości polskiej ale raczej oddaliły. I znów możnaby szukać przyczyn tego w fatalnych warunkach gospodarczych — ale fakt pozostaje faktem. Jakiż z tego wniosek? Można, oczywiście, twierdzić, iż w miarę stopniowego polepszania się sytuacji gospodarczej, stopniowego podnoszenia się poziomu kultury, stopniowego wchodzenia w orbitę idei Państwa Polskiego najszerszych mas jego obywateli, dotychczas tylko „de nomine", rzesze te będą podatniejsze dla wstrząsów o charakterze ogólno-narodowym, silniej zespolą się duchowo z resztą społeczeństwa — i stopniowo rodzić się w nich będą zarodki takiego entuzjazmu, jakie dziś wykrzesać można jeszcze i z proletarjusza miejskiego i z inteligenta.

Ale dochodzimy tutaj znów do wiecznego w polskich stosunkach zapytania: kiedy? I odpowiedzią na to musi być tylko mozolne konstruowanie proroctw co do ewentualnego rozwoju naszej koniunktury gospodarczej w ciągu najbliższych dziesięcioleci. Dziś już wiemy, iż, jeśli zawierzymy nasze losy pewnej ale jakże dalekiej drodze ewolucyjnego rozwoju naszej gospodarki — krok za krokiem, czekają nas i długie lata oczekiwania na rezultaty — i wielkie trudności realizacyjne. Wskazywano w naszym piśmie już nieraz na niebezpieczeństwa, jakie kryje w sobie taka powolna ewolucja, jeśli chodzi o narastanie gróźb z zewnątrz. Można jednak śmiało powiedzieć, iż na wewnątrz niebezpieczeństwa nie są mniejsze. Zatracanie resztek więzów z ideą Polski przez doły społeczne będzie iść w parze z zatracaniem się resztek entuzjazmu, jaki jeszcze obecnie może od czasu do czasu nurtować wyżyny kulturalne Narodu. Czy w tych warunkach zagadnienie t. zw. ostrożnej polityki gospodarczej nie nabiera specjalnego posmaku? Dosłownie — nim nastąpią te warunki gospodarcze, w których poziom kulturalny społeczeństwa pozwoli na wykrzesanie zeń ognia prawdziwej radości twórczej, możemy łatwo zatracić te drobne iskierki, jakie gdzieniegdzie się jeszcze dziś w nim kołaczą.

Istnieje pod tym względem całkowita analogia ze wspomnianymi przez nas przed chwilą niebezpieczeństwami zewnętrznymi. I tam przecież istnieje obawa, iż organiczny i powolny rozwój gospodarczy Polski pozostawi nas tak silnie w tyle za sąsiadami, że grozi nam niedoczekanie do momentu, kiedy ów „racjonalny" rozwój dawać nam pocznie efekty, wzmacniające naszą siłę odporną na zewnątrz. Ta anologia idzie jednak dalej.

Albowiem w naszym najgłębszym przekonaniu oba te niebezpieczeństwa można (i należy) *rozwiązać razem.* Więcej jeszcze — rozwiązanie problemu niebezpieczeństwa zewnętrznego rozwiązuje automatycznie niejako problem niebezpieczeństwa wewnętrznego. Wejście na drogę radykalnych zmian strukturalnych w gospodarstwie polskim pociąga za sobą z konieczności zagadnienie zmian ustrojowych, politycznych i społecznych, a przez to wytwarza ten nastrój, tę atmosferę życia narodowego, w której musi rozwiać się stopniowo niebezpieczeństwo „apatii społecznej", jak nazwalibyśmy w niedoskonałym zresztą skrócie zagadnienie wietrzenia sił duchowych Narodu. Powtarzamy „motto" naszych wywodów: podniosłe nastroje entuzjastyczne wśród mas powstają tylko wówczas, kiedy masy te stoją w obliczu prawdziwie wielkich przemian, dających nadzieję radykalnego polepszenia bytu tych mas.

To jest droga — i jedyna droga — stworzenia w Polsce nastrojów masowego entuzjazmu podobnych do tych, którymi tak zachwycają się poniektórzy z naszych turystów politycznych. Po to, aby osiągnąć zewnętrzny wyraz nastrojów narodowych, trzeba przejść wewnętrzne przemiany, które nastroje te tworzą. Propaganda entuzjazmu — nawet przez najbardziej zdolnych ludzi i w oparciu o wszystkie techniczne udoskonalenia — pozostanie zawsze martwą i bez rezultatów.

WITOLD PTASZYŃSKI

PRYMAT GOSPODARCZY KREDYTU[1])

Kredyt i dochodowość okazują się dwiema stronami tego samego zjawiska.

Zmiany salda zysków i strat ogółu przedsiębiorstw kraju nie dają się pomyśleć bez zmian pozostałości zadłużenia.

Kredyt miał zawsze swych entuzjastów. I być może mniej ich liczył wśród autorów teoretycznych rozważań, niż wśród ambitnych polityków i ludzi interesu, którym nadzieje i zawody Johna Lawn'a nie były obce. Entuzjazm dla twórczych możliwości gospodarczych kredytu powstał niewątpliwie na tle obserwowania szczęśliwych wyników, osiągniętych przez jego zastosowanie. Nie małą też rolę grała tu zapewne łatwość operowania metodami kredytowymi, — uzasadniona prawniczo, ale wątpliwa ekonomicznie. To też katastrofy gospodarcze z powodu zaburzeń w aparacie kredytowym nie stanowiły bynajmniej wydarzeń wyjątkowych.

Czy jednak katastrofy te były wynikiem konieczności — jak twierdzi wielu wojujących ze złudą kredytowo - inflacyjną — czy też spowodowane zostały nieumiejętnością posługiwania się instrumentem o wielkiej skali możliwości twórczych? Zagadnienie jest natury zasadniczej i wymaga rozpatrzenia „ab ovo".

Kredyt pozwala kupić bez uprzedniej lub jednoczesnej sprzedaży, a zatem pozwala zamieniać dobra o określonych kosztach produkcji na dobra innej natury, nie posiadające ceny własnej, a mianowicie — na zadłużenie. Forma w jakiej będzie stwierdzona wartość tego specyficznego dobra — zadłużenia — nie odgrywa roli, a obojętne jest też i jego określenie. „Kredyt" i „zadłużenie" są dwoma dźwiękowymi obrazami tegoż samego zjawiska ekonomicznego! Istotnym jest to, że ktoś, kto wczoraj jeszcze nie dysponował żadną wartością, dysponuje dziś dzięki udzielonemu kredytowi, czyli zaciągniętemu zadłużeniu — siłą nabywczą odpowiedniej wysokości i przystępuje do obrotów gospodarczych na równych prawach z innymi wytwórcami dóbr i usług. Emisja pieniądza papierowego (t. zw. inflacyjna) i wystawienie weksla handlowego stają się równoznaczne z tego punktu widzenia. Niezależnie więc od swej postaci zadłużenie powiększa każdorazową siłę nabywczą kraju, a cóż innego, jeśli nie dodatkowa siła nabywcza jest konieczne, aby wchłonąć w kanały wymiany niewymienialną część produkcji pojawiającą się w okresach złej koniunktury?! Ponadto zaś zadłużenie (kredyt) umożliwia także osiągnięcie zysków, któreby bez jego istnienia nigdy nie zostały zrealizowane. Przy sprzedaży towaru na kredyt (zresztą producent — sprzedawca otrzymuje normalnie gotówkę, gdyż zadłużeniem handlują banki) rozszerza się krąg nabywców, a jednocześnie wzrastają ceny. Zyski z tego źródła realizują bądź pierwsi bądź następni producenci - sprzedawcy i od nich przenikają one stopniowo we wszystkie branże i komórki aktywności gospodarczej. Prąd wymiany może wówczas łatwo spływać, przenosząc produkowane dobra bez stwarzania zatorów w kanałach, łączących produkcję z konsumcją.

Wygląda to w ten sposób, że producent - konsument A chcąc powiększyć swe obroty i zyski sprzedaje towar producentowi - konsumentowi B za zadłużenie (na kredyt), dzięki czemu producent - konsument B staje się nabywcą towaru, którego skądinąd nabyć nie mógł wobec braku kapitału obrotowego. B nabywa towar w zamiarze odsprzedaży z zyskiem po przeróbce producentowi - konsumentowi C, i jeżeli ten zamiar napotyka na trudności z powodu braku kapitału obrotowego C, lub nawet z innych powodów, wówczas B postępuje jak A, t. j. szuka ratunku przed stratą, ewentualnie przed utratą oczekiwanego zysku, w sprzedaży za zadłużenie (na kredyt) — C lub D lub E. Z kolei ci ostatni dalej naśladują A i B tak długo, jak im się to udaje lub jest możliwe. Dopóki więc na rynku nie odczuwa się braku kredytu łatwo dostępnego dla poszczególnych przedsiębiorców lub konsumentów mogących właśnie dzięki kredytowi (t. j. zadłużeniu) uzupełniać siłę nabywczą swych klientów lub własną — dopóty też obieg dóbr dokonywa się łatwo i bez wstrząsów.

Istnieją wówczas wszystkie, za wyjątkiem jednego, konieczne warunki do powstania i utrzymania się dobrej koniunktury.

Zadłużenie *implikuje* w większości wypadków amortyzację oraz płacenie odsetek, i to jest właśnie druga mniej szczęśliwa strona operacyj kredytowych. Ożywcze skutki zadłużenia dają się bowiem tak długo utrzymać, jak długo zadłużenie wzrasta lub przynajmniej nie maleje, a zatem celem usunięcia deflacyjnego — sit venia verbo — naporu amortyzacji i odsetek należałoby utrzymać wzrost zadłużenia w zakresie przynajmniej odpowiadającym wysokości płaconych sum z dwóch wspomnianych tytułów. Istniałby wówczas stan równowagi dynamicznej zadłużenia, gdyż ogólna siła nabywcza kraju nie zmniejszałaby się na skutek kosztów zadłużenia, ani też nie wzrastałaby mimo nowych operacyj kredytowych.

Jest zrozumiałe, że stan równowagi dynamicznej zadłużenia nie istnieje prawie nigdy, czyli że wolumen

[1]) Niebawem ukaże się w druku rozprawa p. t. „Kredyt i Koniunktura. Położenie gospodarcze Polski w okresie 1925 — 1935 na tle poglądów G. Guillaume'a", której myśli przewodnie stanowią treść niniejszego artykułu.

kredytu wzrasta bądź szybciej bądź wolniej od przeciętnej stopy procentowej według której (łącznie z amortyzacją), został zaciągnięty. Stąd wytwarza się pozytywna lub negatywna pozostałość zadłużenia (le résidu positif ou négatif de l'endettement) odpowiednio determinująca pomyślne lub niepomyślne fluktuacje koniunktury.

Póki zadłużenie szybko wzrastając pokrywało koszty swej obsługi finansowej i wytwarzało pozostałość pozytywną — producenci rozwijali zakłady i wytwórczość pod wpływem zwiększonego popytu i towarzyszącej mu zwyżki cen i zysków.

Tak działo się w Stanach Zjednoczonych A. P. w okresie 1924 — 1929, we Francji w latach 1924 — 1925 i 1928 — 1929, w Niemczech w 1925 — 1929 r., oraz w szeregu innych państw. W Polsce pozostałość pozytywna zadłużenia wynosiła przeszło dwa miliardy złotych w roku 1925, tyleż samo prawie w roku 1927 (rok 1926 wykazuje negatywną pozostałość!) wzrastając do 2,5 miliarda złotych w 1928 i malejąc następnie do około 1,1 miliarda złotych w 1929 roku. Rok 1930, zapoczątkowując długi okres kryzysowy, wykazał zaledwie 125 milionów złotych pozostałości pozytywnej zadłużenia. Lata następne charakteryzują się początkowo wzrastającą, później malejącą, stale jednak negatywną pozostałością zadłużenia, a mianowicie: 1931 r. — 1242 mil. zł., 1932 r. — 762 mil. zł., 1933 r. — 596 mil. zł., i 1934 r. — 162 mil. zł. [2]). Sytuacja gospodarcza w roku 1935, jakkolwiek brak jeszcze w tej chwili wystarczająco porównalnych danych, determinowana była prawdopodobnie równą jak w 1934 roku pozostałością negatywną — t. zn. nowe kredyty były o około 150 — 200 milionów złotych za małe, by pokryć koszta obsługi dotychczasowego zadłużenia polskiej gospodarki.

Skutki trwania pozostałości negatywnej zadłużenia są odwróceniem działania czynników, które w okresie pozostałości pozytywnej zapewniają zyski i pobudzają optymizm gospodarczy. Obroty kurczą się w miarę zanikania siły nabywczej, zapasy rosną, ceny zniżkują, a przedsiębiorstwa stają wobec zobowiązań finansowych, którym podołać nie są w możności. Wycofywane i spłacane z trudem kredyty nie zostają zastąpione nowymi — choćby w innych branżach — wskutek czego siła nabywcza zmniejsza się i nie wraca już do obiegu w swej dawnej wysokości. Tym samym wyprodukowane poprzednio *celem sprzedaży w okresie t quantum dóbr okazuje się większe w swych ogólnych kosztach od sum przeznaczonych w całości gospodarstwa narodowego na zakupy w tymże okresie t.* Straty przedsiębiorstw stają się wówczas absolutnie nieuniknione, bo społeczeństwo nie jest w stanie zakupić produkcji nawet po cenie kosztu. Odwrotnie i bez przesady można powiedzieć, że w czasie trwania pozostałości pozytywnej zadłużenia nie uniknioną jest nadwyżka zysków nad stratami w dającym się pomyśleć łącznym bilansie przedsiębiorstw kraju.

[2]) W rzeczywistości odpowiednie cyfry były na pewno większe, jednakże ustalenie ich jest nie możliwe wobec braku danych statystycznych o wszelkich istniejących rodzajach zadłużenia.

Ten mechaniczny niejako związek między wahaniami rynku kredytowego a zyskami względnie stratami ogółu przedsiębiorstw jest także związkiem matematycznym.

Na rynku zamkniętym, którego masa pieniężna nie ulega zmianom, t. j. na rynku nie znającym zadłużenia i kredytu — łączny narodowy rachunek strat i zysków przedsiębiorstw nie mógłby nigdy wykazać nadwyżki strat lub zysków. Obie pozycje byłyby identycznej wielkości. Tymczasem gdy na rynku takim zjawia się kredyt, przedsiębiorcy, którzy dotychczas zmuszeni byli sprzedawać ze stratą, sprzedają pośrednio i bezpośrednio na kredyt bądź wykorzystują dla sprzedaży siłę nabywczą, pochodzącą z kredytu udzielonego którejkolkiek z branż. W ten sposób zwiększona masa obrotowo - kredytowa, musi — zanim nastąpi adaptacja procesów gospodarczych na nowych warunkach — znaleźć punkty oparcia i przynależności w przedsiębiorstwach pod postacią zysków. Dlatego właśnie, (potrącając od nowo udzielonych kredytów ewentualny wzrost kosztów własnych, występujący nie później od wzrostu siły nabywczej) — zmiany pozostałości pozytywnej lub negatywnej zadłużenia będą odtwarzały wprost proporcjonalnie zmiany ogólnego salda zysków i strat wszystkich przedsiębiorstw kraju.

Wniosek taki mówi rzeczy istotne: bez kredytu — nie ma zysków a są straty, przy kredycie — nie ma strat a są zyski. Kredyt i dochodowość okazują się dwiema stronami identycznego zjawiska, które dotychczas nie ma nazwy w języku ekonomicznym, może poza zbyt ogólnikowym określeniem „koniunktury". Zresztą nazwa nie jest potrzebna: wystarczy wiedzieć, że zmiany salda zysków i strat ogółu przedsiębiorstw kraju nie dają się pomyśleć bez zmian pozostałości zadłużenia.

Przebieg procesów koniunktury i poczynania polityki gospodarczej zyskują na tle poprzednich uwag specjalną wyrazistość.

Stałe trwanie pozostałości pozytywnej zadłużenia, okazuje się jak dotychczas niemożliwe, przede wszystkim ze względu na ograniczone pokryciem złota możliwości polityczno - kredytowe banku emisyjnego. Ale wpływy psychologiczne i mniej dotąd znane czynniki mechaniczne wyprzedzają moment wyczerpania się tych możliwości. Brak wiary w przyszłość i związane z nim wstrzymanie dopływu kredytów (bankowych, emisyj akcyj i obligacyj etc.) nawzajem się wzmacniają i w połączeniu z towarzyszącą im zwyżką cen przyczyniają się do coraz gwałtowniejszego, najczęściej, spadku siły nabywczej. Ta gwałtowność spadku sama w sobie stwarza już poczucie kryzysu w oczach przedsiębiorców i obserwatorów życia gospodarczego, mimo, że pozostałość zadłużenia nie straciła jeszcze charakteru pozytywnego, jak to np. działo się w Polsce w latach 1928 — 1930, kiedy pozostałość pozytywna zmalała z 2524 mil. zł. do 126 mil. zł., przechodząc w ogromną pozostałość negatywną — 1242 mil. zł. w roku 1931.

Polityka gospodarcza usiłuje przeciwdziałać kryzysowi w zakresie zjawisk kredytowych stosując obniżenie ustawowe oprocentowania, a gdy to nie wy-

starcza, wprowadzając moratorium dla spłaty odsetek, a ewentualnie i kapitału. Redukcja kapitału bywa również stosowana, bądź bezpośrednio, bądź pośrednio w postaci dewaluacji pieniądza. Nim zresztą dojdzie do tak „drażliwych" jak dewaluacja i moratoria środków „zaradczych" (lub obok takich środków) — jednostki gospodarujące same stosują różnego rodzaju umowy i układy (np. upadłościowe) mając na celu obniżenie ciężaru długów do granic finansowych możliwości przedsiębiorstw. Jednocześnie kierownicy polityki gospodarczej usiłują często rozbudować gmach instytucyj gwarancyjno - mobilizacyjnych, które mają na celu nie tylko uspokoić wierzycieli i społeczeństwo wogóle t. j. tym samym przeciwdziałać zmniejszaniu się zadłużenia, ale także — zwiększać zadłużenie przez mobilizację nowych oszczędności, ofiarowując im specjalne gwarancje. Państwo — największy z dłużników, którego bilans dominuje nad ogólną koniunkturą rynku, używa w prowadzeniu swych interesów metod podobnych do wyżej wspomnianych. Historia kredytu publicznego staje się w ten sposób jednym wielkim ciągiem konwersyj i dewaluacyj.

Wszystkie te metody są jednak nie tylko wyrazem świadomej polityki; większość z nich (układy, obniżki, dewaluacje) jest koniecznością nieuniknioną, która choć może na skutek interwencji państwowej przybrać może różne formy, oznacza jednak zawsze tylko zwykłe skonstatowanie strat, poniesionych na skutek zmniejszenia się siły nabywczej. Państwo co najwyżej uprzedza wypadki, gdy nie chcąc dopuścić do ogłoszenia upadłości wszystkich prawie przedsiębiorstw — wprowadza prawno-publiczne zmniejszenie wysokości lub ciężaru zadłużenia.

Ostatecznie na tej czy innej drodze straty przedsiębiorstw zostaną anulowane, bilanse wysanowane, zaś koszty produkcji dopasowane do obniżonej siły nabywczej kraju. Na miejsce skreślonych długów wątpliwych lub nie ściągalnych można zatem, skoro nie ma już obaw co do realności bilansów, zaciągać nowe spłacalne (na razie!) kredyty i rozpocząć nowy okres pomyślnej koniunktury.

Polityka gospodarcza rozporządza wszakże środkami, które mogą nie tylko konstatować straty, ale także w zasadzie przeciwdziałać zanikowi pozostałości pozytywnej zadłużenia, lub — w razie stosowania ich w czasie kryzysu — spowodować przekształcenie pozostałości negatywnej na pozytywną. Środki te będą polegały, podobnie jak zauważyliśmy to w wypadku instytucyj finansowych gwarancyjno - mobilizacyjnych — na celowym stwarzaniu zadłużenia, kompensującego zanik siły nabywczej.

W czerwcu bieżącego roku inicjatywę takiej akcji w Polsce podjęła spółdzielczość spożywców, umieszczając w swym programie gospodarczym między innymi postulat wprowadzenia waluty pomocniczej [3]), której celem byłoby dopełnienie brakującej w obrocie siły nabywczej. Jeżeli myśl jest słuszna ekonomicznie, to tym więcej uwagi należy poświęcić umiejętnej technice finansowej jej przeprowadzenia, gdyż od tej ostatniej — ze względu na współdziałające elementy psychologiczne — zależy praktyczne osiągnięcie celu. Związki mechaniczne i matematyczne, jakich istnienie stwierdziliśmy między pozostałością zadłużenia a koniunkturą, nie oznaczają bowiem negacji elementów psychologicznych, niezdolnych coprawda do naruszenia zanalizowanych związków, ale jednak wywierających ogromną presję w kierunku koniunkturalnym przez siebie wybranym. Rola techniki finansowej i rola polityki ekonomicznej w ogóle polega właśnie na przeciwdziałaniu tej presji, ilekroć ujawnia się ona w kierunku niekorzystnym, przy pomocy odpowiednio dostosowanych instytucyj prawnogospodarczych.

Na innym miejscu bardziej szczegółowo wyjaśniamy dominującą rolę kredytu w kształtowaniu się koniunktury i tam także podajemy treść, metody oraz wyniki badań przeprowadzonych nad sytuacją kredytową i koniunkturalną w Polsce w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Badania te wykazały, że wahania koniunktury i rentowności w Polsce były zawsze i całkowicie zgodne z wahaniami pozostałości zadłużenia, obliczonego na podstawie wszystkich porównalnych statystycznie danych o zadłużeniu naszego gospodarstwa. Badania podobne były już przeprowadzone dla Francji, Anglii, Stanów Zjednoczonych A. P. i Włoch w biurze paryskim autora przedstawionych tu poglądów p. G. Guillaume'a — dając ze zrozumiałych względów wyniki o dokładności jeszcze większej niż to stwierdziliśmy podczas badań nad sytuacją w Polsce.

Interesującym potwierdzeniem poglądów p. Guillaume'a okazała się także ostatnia praca Biura Studiów Ekonomicznych przy Lidze Narodów p. t. „Monnaies et Banques 1935 — 1936". Stwierdza ona, że kraje, które dokonały u siebie ekspansji pieniężnej w latach 1933 — 1935 (W. Brytania, Dominia brytyjskie, Szwecja, Stany Zjednoczone A. P. Niemcy, Japonia) wydźwignęły się już w znacznej mierze z depresji, tymczasem kraje, które ekspansji nie zastosowały (Francja, Polska, Holandia, Szwajcaria) pozostały pod przemożnym wpływem kryzysu. Przez ekspansję pieniężną Biuro Studiów rozumie bądź politykę bankową, polegającą na zakupywaniu papierów państwowych na wolnym rynku, bądź politykę finansowania deficytów budżetowych drogą wypuszczania bonów skarbowych, skryptów, weksli i t. p. W obu wypadkach ekspansja pieniężna nie oznacza nic innego jak wzrost zadłużenia i ewentualnie — także obniżenie stopy procentowej.

Na tle tych różnymi metodami prowadzonych obserwacyj prymat ekonomiczny kredytu okazuje się *politycznie* faktem dokonanym — *teoretycznie* zaś zjawiskiem niewątpliwym, którego doniosłość nie zmaleje zapewne pierwej, nim problematy zmiennej koniunktury nie przejdą bezpowrotnie do historii.

[3]) M. Rapacki. Program gospodarczy spółdzielczości spożywców. Warszawa. 1926. Nakł. „Społem".

UWAGI

WIELKIE I MAŁE MIASTA

Jest rzeczą notorycznie wiadomą, iż Polsce potrzebny jest możliwie silny proces uprzemysławiania się, co niemal dosłownie tłomaczy się na potrzebę urbanizacji kraju. Pożądanym jest możliwie obfity prąd ludzi ze wsi do miast.

Do jakich mianowicie miast? Wielkich czy małych? Oczywiście i do tych i do tych, jednak liczne okoliczności przemawiają za tym, iż bardziej pożądanym jest zwiększenie się ludności miast mniejszych. Argumentem pierwszym jest ważna nie tylko z militarnego punktu widzenia kwestia nadmiernego u nas scentralizowania ośrodków gospodarczych, co łączy się ze znacznym problemem różnicy w poziomie gospodarczym dzielnic. Argumentem drugim jest, że miasteczka i małe miasta są niejako pomostem między wsią, a wielkim miastem, z ich ogromnymi różnicami w charakterze i poziomie kultury zarówno materialnej, jak wszelkiej innej. Mniejsze miasta odgrywać powinny rolę ośrodków, podciągających niejako okolicę do swego poziomu — a na to muszą mieć należycie silne tempo rozwojowe. Argumentem trzecim jest, że np. nowa fabryka powstająca w wielkim mieście powoduje powstanie tylko nielicznych urządzeń gospodarczych, obsługujących jej pracowników: wystarczą dla nich już istniejące sklepy, warsztaty rzemieślnicze, wolne zawody, przedsiębiorstwa zabawowe, etc. etc. Taż sama fabryka w małym miasteczku stworzyć może około siebie całą plejadę nowych warsztatów pracy. *Lawinowość* procesu urbanizacyjnego ujawnia się silniej na terenie małych osiedli, niż wielkich. Argumentów podobnych możnaby cytować więcej.

Stan faktyczny jest ściśle odmienny od stanu pożądanego. Bowiem w dziesięcioleciu 1921—31 wzrost ludności w poszczególnych kategoriach miast polskich rozkładał się w sposób następujący:

miasta o ludności	powyżej 100.000	— 60,2%
„ „	od 10.000 do 100.000	— 26,9%
„ „	poniżej 10.000	— 7,3%

Można przypuszczać, że liczby dają przejaskrawiony obraz zjawiska, gdyż w cytowanym dziesięcioleciu zachodziły wypadki rozszerzenia terenu miast, pozatem niektóre miasta „zaawansowały" w tym okresie do grupy większych. Korektywy mogą być nawet poważne, ale nie zmienią one wymowy liczby, którą uważamy za najbardziej charakterystyczną, a mianowicie wzrostu ludności miast małych raptem o 7,3%, t. j. znacznie mniej, niż ich przyrost naturalny. Miasta małe wyludniają się więc. Potrzebny krajowi proces urbanizacji odbywa się na terenie miast wielkich, a w miastach małych mamy do czynienia z *dezurbanizacją*. Wszystkie te argumenty, w myśl których silny wzrost ludności miast małych jest szczególnie pożądany — kwalifikują ów proces dezurbanizacji jako szczególnie niepokojący.

Problem metod postępowania, które możnaby temu niepokojącemu objawowi przeciwstawić — jest trudny i oczywiście nawet w streszczeniu nie może być w tej notatce postawiony. Sprobujemy jednak wysunąć pewne propozycje o fragmentarycznym charakterze.

Pewne pole działania istnieje tu, z natury rzeczy, dla polityki podatkowej. Możnaby mianowicie zastosować dosyć pogłębione zróżnicowanie wysokości danin publicznych, w zależności od wielkości miasta, przy czym może wielkości mierzonej nie liczbą ludności, a np. wysokością budżetu gminnego. W ten sposób osoby i przedsiębiorstwa osiedlające się w małych miastach korzystałyby z przywileju, zwiększającego atrakcyjność gospodarczą owych osiedli. Różnicowanie takie łatwiej i bardziej celowo, w bardziej zindywidualizowany sposób dałoby się przeprowadzić w dziedzinie podatków komunalnych, niż państwowych. Przy czym stan finansów komunalnych zalecałby iść raczej po linii zwiększania danin w miastach wielkich, niż redukowania ich w miastach małych; co poza tym miałoby pewne uzasadnienie w fakcie, że wielkie skupiska wyszły z kryzysu naogół obronną ręką (oprócz miast o jednostronnej, wielko - przemysłowej strukturze), a więc posiadają stosunkowo większe możliwości płatnicze.

Ciekawe rezultaty udałoby się też zapewne uzyskać przez odpowiednie posunięcia w dziedzinie wszelkich publicznych rent i emerytur. Już obecnie mieszkaniec prowincji może za swą emeryturę czy rentę otrzymać znacznie więcej, niż mieszkaniec stolicy Państwa lub prowincji. Jednak miasta wielkie ciągną do siebie swymi udogodnieniami życiowymi. Wchodziłoby więc w grę wyrównanie atrakcyjności na korzyść miast małych albo przez zróżnicowanie wysokości wypłacanej emerytury czy renty, albo np. przez rygorystyczny zakaz pracy zarobkowej w wielkich miastach.

Propozycje powyższe są zupełnie fragmentaryczne i mają jedną wspólną cechę, wybitnie ujemną: mówią o wpływaniu na rozdział tego „kontyngentu" ludzkiego, który jest predestynowany do osiedlenia się w miastach. Tymczasem „kontyngent" taki nie istnieje. Sytuacja ludnościowa wsi jest taka, że może ona, z korzyścią dla siebie, dostarczyć miastu i zajęciom miejskim praktycznie dowolną liczbę ludzi. Nawet przy najsilniejszym wzroście miast wielkich, wiejski basen ludzki nie byłby wyczerpany i małe miasta miałyby z czego czerpać pełną ręką.

Przeto przeciąganie do Pipidówek ludzi mających ochotę iść do stolic, jest paliatywną metodą działania. Ważniejszym byłoby stworzenie bezpośredniej atrakcyjności dla Pipidówek. I *ważniejszym i ważnym* — gdyż wyludnianie się miast małych jest ważnym problemem społecznym i gospodarczym.

w. g.

CHŁOPI IDĄ...

Manifestacje chłopskie, jakich widownią była niedawno Małopolska, przypomniały w jaskrawej formie serję zaniedbań, popełnionych w Polsce na przestrzeni ostatniego dziesięciolecia, na odcinku wiejskim. Nasza polityka była niemal wyłącznie pro-ziemiańska, pro-obszarnicza i dopiero od krótkiego czasu daje się zaobserwować — wraz z poprawą koniunktury gospodarczej — lekka zmiana na lepsze. Nie zmieniły się natomiast stosunki w odniesieniu do interesujących chłopa zagadnień społeczno-politycznych. Jako pismo, nie zajmujące się tą stroną życia (t. j. polityczną), nie analizujemy powyższego stanu rzeczy i ograniczamy się jedynie do zaznaczenia, że problem ten istnieje, nabrzmiewa i wymaga rozwiązania. Wywiad redakcji wileńskiego „Słowa" z gen. Żeligowskim jest pod tym względem tak bardzo charakterystyczny, iż niema powodu, aby zamarkowany problem przypominać z łamów pisma gospodarczego.

To, że źródłem obudzenia się politycznej i społecznej aktywności chłopa polskiego jest Małopolska, nie powinno nikogo dziwić. Bo ruch ten nie pochodzi z większego uświadomienia rozpolitykowanych przez witosowców włościan, lecz ze stanu rzeczy, który opisał p. J. Michałowski w swym przyczynku p. t. „Wieś nie ma pracy". Sytuacja wsi Małopolskiej, przeludnionej, nie posiadającej w rezerwie ani majątków rolnych większej własności ziemskiej, ani miast uprzemysłowionych, ani też dobrych warunków do handlu — jest naprawdę ciężka, a kto wie, czy nie rozpaczliwa. Te same przesłanki przyświecały jeszcze 8 lat temu chłopom mało i średniorolnym z południowych powiatów Kielecczyzny, kiedy głosowali do Sejmu na listę P. P. S. nie z miłości dla socjalizmu, lecz w przewidywaniu, iż tylko partia robotnicza, partia miejska potrafi znaleść dla chłopa ujście w pracy — nie na roli.

Jeżeliby pochody chłopskie miały się nie ograniczyć do manifestacyj w stylu uroczystości ku czci wójta Pyrza, to niewątpliwie nasza dotychczasowa polityka społeczno-gospodarcza uległaby radykalnej zmianie. Radykalizm tej zmiany polegałby nietyle na reformie rolnej bez odszkodowania, ile na postawieniu zagadnienia „pracy dla wsi". Musiałaby wówczas polityka gospodarcza państwa zwekslować na forsowanie pomocy dla warsztatów rolnych, pomocy o charakterze przede wszystkim inwestycyjnym, aby zatrudnić wiejskie wolne ręce robocze. Mielibyśmy do czynienia ze wzmożoną intensyfikacją gospodarstw rolnych, zwiększeniem preferencyj dla surowców krajowych, zahamowaniem importu, wzrostem eksportu rolnego. Działoby się to wszystko na tle wzmożenia walki z kartelami aż do rozwiązania tychże (węgiel, żelazo), aczkolwiek kartel cukrowy cieszyłby się — kto wie — zwiększonym poparciem. Równocześnie wprowadzonoby obniżkę podatku gruntowego i zwyżkę — dla rekompensaty i ze względów zasadniczych — podatku obrotowego. Taryfy towarowe obniżonoby na rachunek podwyżki taryf osobowych. Ucierpiałaby zapewne akcja motoryzacyjna z premiowaniem kupna drogich samochodów na czele, wzrosłyby za to subwencje na oświatę wiejską.

Innymi słowy, dojście chłopów do władzy, czy wpływu na władzę miałoby za swój skutek zmianę naszej polityki społecznej i gospodarczej conajmniej o 90 stopni. Granica podziału dochodu społecznego pomiędzy wieś i miasto poszłaby w górę na niekorzyść miasta. Pewnym hamulcem czy sygnałem ostrzegawczym byłby tu niewątpliwie wzgląd na znalezienie dla chłopa miejsca w sklepie lub warsztacie rzemieślniczym. Częściowa urbanizacja wsi, uhandlowienie jej i urzemieślniczenie miałyby znaczenie programowe, zasadnicze. Wejście chłopów do miast i wzmożenie emigracji żydowskiej — to obok reformy rolnej i intensyfikacji gospodarki rolnej jedyne środki zaradcze na przeludnienie wsi i rolnictwa.

Nie bawimy się w perspektywy polityczne. Czy chłopi dojdą do władzy i w jakich warunkach — to jest dla nas w danym momencie sprawa drugorzędna. Pierwszorzędnego znaczenia nabiera natomiast *podłoże* aktywizacji ruchów chłopskich. Jakie przyczyny — takie objawy i takie środki. Można je rozładować tak lub inaczej, wolniej lub szybciej, z udziałem chłopów lub bez ich udziału: w każdym razie rozładować trzeba. Dzisiaj już stan rzeczy jest taki, że nie można się zatrzymać, a cóż dopiero — cofnąć.

k. b.

KŁOPOTY ZWYCIĘSTWA

Zwycięstwem było przejęcie „Wspólnoty Interesów" z rąk niemieckich, unarodowienie kluczowego przedsiębiorstwa w kluczowym przemyśle. Kłopoty rodzi pytanie, co dalej?

Proste rozwiązanie w postaci utrzymania w rękach państwa Wspólnoty jako jednego, wielkiego „kombinatu" przemysłowo ma nie wielu zwolenników. Że pewne koła atakują myśl trwałego upaństwowienia Wspólnoty, nic w tym dziwnego. Taki to już w tych kołach zwyczaj, ażeby w każdej sprawie, przy każdym problemie na czoło wysuwać właśnie postulat walki z etatyzmem.

Znacznie ciekawsze jest, że etatyzacja Wspólnoty ma nie wielu zwolenników również i na drugim skrzydle poglądów gospodarczych i społecznych. Tu podłoże zastrzeżeń jest bardziej złożone, mniej jednolite. W jednym wypadku rządzi obawa, że Państwo jako posiadacz tak olbrzymiego przedsiębiorstwa przemysłowego nie zdoła prowadzić niezależnej polityki cen, że w stosunku do własnego zakładu nie będzie miało silnej ręki, że ławiej podda się sugestiom kontynuowania w ciężkim przemyśle dotychczasowej polityki wysokich cen kartelowych.

W innym wypadku mamy do czynienia z rozczarowaniem do dotychczasowego etatyzmu polskiego, z poglądem, że upaństwowieniu przemysłu muszą towarzyszyć warunki społeczne. Że aparat państwowy nie jest w stanie ani zapewnić dostatecznej kontroli, ani też nie może wytworzyć atmosfery wysiłku i twórczej inicjatywy. Że niezbędnym warunkiem nacjonalizacji przemysłu jest ruch społeczny o dużej dynamice, stwarzający atmosferę entuzjazmu i zapewniający społeczną kontrolę.

Osobną kategorię stanowią ci, których koncepcje wychodzą już dalej poza proste upaństwowienie przedsiębiorstwa, ci, którzy pragnęli Wspólnotę uczynić terenem nowej, niewątpliwie w zasadzie interesującej próby, a mianowicie uspołecznienia przedsiębiorstwa, poprzez rozdrobnienie własności, poprzez szeroki udział pracowników i robotników w tej własności.

Zgodnie z ciężarem gatunkowym śląskiego olbrzyma przemysłowego dyskusja na temat jego dalszych losów stała się dyskusją na temat kilku zasadniczych problemów naszej polityki gospodarczej i naszego ustroju społeczno-gospodarczego.

Ze smutkiem musimy stwierdzić, że w takim obrocie dyskusji widzimy wyraz skrajnego praktycyzmu, znamionującego naszą politykę, nasze myślenie gospodarcze, że widzimy w tym wszystkie ujemne skutki braku wyraźnej ogólnej doktryny społeczno-gospodarczej.

Przejęcie Wspólnoty było z pewnością słuszne z każdego stanowiska. Ale czy nie jest niepokojące, że nasz plan działania ograniczał się tylko do jednego etapu, do samego przejęcia, zastępując dalsze punkty programu polskim „jakoś to będzie"...

Co więcej. Powiedzmy sobie wyraźnie, że pewna część wyliczonych wyżej problemów nie daje się prawidłowo rozstrzygnąć inaczej, jak na gruncie ogólniejszej doktryny, która miałaby być stale stosowana również w odniesieniu do innych pokrewnych zagadnień. Bez ogólniejszej doktryny, stanowiącej określoną wytyczną nietylko dla danego wypadku, nie tylko dla zagadnienia „Wspólnoty Interesów", lecz i dla innych pokrewnych zagadnień — możliwości celowego rozwiązania problemu Wspólnoty są z natury rzeczy ograniczone, nie sposób bowiem na danym odcinku tworzyć pewnych formacyj wtedy, kiedy inne odcinki do tego przystosowane nie są.

Powyższe uwagi nie dotyczą, a przynajmniej nie w pełnej mierze dotyczą dwu problemów, które obok wzmiankowanej kwestii uspołecznienia Wspólnoty zostały w dyskusji poruszone. Pierwszy z nich to sprawa polityki cen w ciężkim przemyśle, drugi to postawiony przez pana F. Z. problem, (który zresztą nie znalazł echa) dekoncentracji Wspólnoty, rozbicia jej na mniejsze, niezależne przedsiębiorstwa. Bez względu na to, na jakim się stanie grucie doktrynalnym, bez względu na to czy chce się widzieć we Wspólnocie przedsiębiorstwo państwowe, prywatne czy uspołecznione — sprawa dekoncentracji Wspólnoty zawsze wydaje się aktualna. Wielki koncern pionowy, jakim jest Wspólnota, wyrósł z określonych dążeń dysponentów kapitałowych. Dla gospodarstwa społecznego ten stopień koncentracji korzystny nie jest. Nie jest on także pożądany z punktu widzenia jasnej i trzeźwej ceny rentowności przedsiębiorstwa. W przeciwieństwie do stanu z przed paru lat zdajemy sobie dziś sprawę z tego, że skoncentrowane olbrzymy nie mogą posiadać dokładnej orientacji co do rzeczywistych wyników pracy poszczególnych ogniw, że koncentracja łatwo maskuje nierentowność pewnych procesów wytwórczych, które ujawniłyby się w razie rozbicia przedsiębiorstwa na drobniejsze komórki. Wiemy też, że właśnie koncentracja pionowa doprowadzając do łączenia z przemysłem surowcowym warsztatów o charakterze przetwórczym, utrudnia pracę i rozwój samodzielnego przemysłu przetwórczego i tu utrudnia w drodze konkurencji w tym sensie „nielojalnej", że opartej o stosowanie w rozrachunku wewnętrznym cen niższych niż przy dostawach dla przedsiębiorstw samodzielnych. Problem dekoncentracji zyskuje oczywiście kolosalnie na znaczeniu, jeśli rzuci się tezę trwałego upaństwowienia i będzie się chciało dążyć do przejęcia przez kapitał prywatny bądź też do uspołecznienia w nieetatystycznej formie.

Sprawa polityki cen stanowi zagadnienie wielokrotnie dyskutowane. Na początku uwag niniejszych wspomniałem, iż upaństwowienie Wspólnoty wprowadzi tu pewien element obawy, ale przecież w zasadzie mogłoby być wręcz odwrotnie. Przejęcie Wspólnoty dzięki niewysokiej cenie dało Państwu w ręce placówkę, która z natury rzeczy powinna być czynnikiem obniżenia cen rynkowych. Po drugie zetknięcie się Państwa z problemem hutniczym i węglowym od wewnątrz daje możność bezpośredniego wniknięcia w te elementy, które działają hamująco na obniżenie kosztów wytwórczości. Mam tu na myśli opacznie pojmowane względy socjalne, skłaniające do utrzymania w drodze przydziałów kontyngentowych placówek najmniej rentownych czy nie rentownych. — Słowem, poza problemem organizacyjnym problemem ustosunkowania się Państwa jako polityka gospodarczego do Państwa jako przedsiębiorcy, stan rzeczy jaki wytworzył się we Wspólnocie sprzyja raczej pozytywnemu rozwiązaniu sprawy polityki cen — chodzi więc tylko o to, by w zagadnieniu organizacyjnym zapanowało odpowiednie nastawienie .

Jeśli można sobie wyobrazić prawidłowe rozwiązanie obu powyższych zagadnień, to jak wspomniałem wyżej, trudno ufać by szczęśliwie dało się rozwiązać zagadnienie własności Wspólnoty, tak organicznie związane z ogólnym problemem ustrojowym. Sądząc z prasy rzucona została koncepcja rozsprzedaży akcyj pomiędzy pracowników i robotników. Koncepcja ta równa się — jeśliby miała charakter przymusowy — a w innym wypadku będzie poprostu niezrealizowana — obniżce płac i obciążeniu pracobiorców ryzykiem przedsiębiorstwa. Czyż zatem wybór musi się ograniczać do dylematu: Państwo czy prywatny przedsiębiorca? — W zasadzie nie, w praktyce na dłuższy dystans — tak. W zasadzie możliwa jest forma uspołecznienia, forma która piszącemu te słowa wydaje się znacznie właściwsza od upaństwowienia. Możliwe jest mianowicie przejęcie Wspólnoty, zwłaszcza Wspólnoty zdekoncentrowanej, rozbitej na kilka niezależnych zakładów, przez kapitał który nazwiemy kapitałem społecznym. Można sobie wyobrazić, że np. spółdzielcze fabryki maszyn, spółdzielczość rolniczo-handlowa, zajmująca się rozsprzedażą żelaza, wszelka spółdzielczość zajmująca się rozsprzedażą węgla i t. d. przejmą jako udziałowcy poszczególne części Wspólnoty. Ale można to sobie tylko wyobrazić, gdyż poprostu brak nam formacyj społecznych dość silnych, aby taki zabieg mógł być dziś dokonany. Brak również na terenie „przedsiębiorczości społecznej" ludzi przygotowanych do tego rodzaju zadań. W zasadzie jednak — jeśli sobie można pozwolić na fantazję ustrojową — przyszłość wielkich przedsiębiorstw widzieć można nie w uspołecz-

nieniu bezpośrednim, nie w powierzeniu gestii nieprzygotowanym, niezorganizowanym masom drobnych akcjonariuszy, lecz w organizacji że się tak wyrażę dwupiętrowej, w wytworzeniu małych komórek, będących w bezpośrednim zarządzie i stanowiących własność pracowników, oraz oparciu na tych jednostkach kolosów, które bezpośrednio przez masy zarządzane być nie mogą. Zważywszy jednak, że klucz do tego rozwiązania leży poza zagadnieniem Wspólnoty i że koncepcja uprywatnienia ogranicza się dotychczas do czysto papierowych zaleceń bez wskazania na jakąkolwiek możliwość praktyczną — istotnym zagadnieniem wydaje się nie kwestia własności, a kwestia organizacji zarządu przedsiębiorstwem, ta sama kwestia, na którą napotykamy w zagadnieniu polityki cen i w sprawie dekoncentracji. W tym też widzimy największy praktyczny kłopot zwycięstwa, w tym, że przepracowanie, pogłębienie sprawy zarządu przedsiębiorstwa upaństwowionego, nie posunęło się u nas naprzód pomimo poważnego zwiększenia zasięgu przedsiębiorstw upaństwowionych.

a. u.

KAZIMIERZ BRODNICKI

UKRAIŃCY

Potrzeby polskiego gospodarstwa narodowego wymagają wykorzystania dorobku i ekspansji gospodarczej Ukraińców ziem południowo-wschodnich.

Na terytorium Rzeczypospolitej zamieszkuje około 4½ miljona Ukraińców. W dwuch województwach (Wołyń i Stanisławów) są oni w większości, w jednym (Lwów) — w mniejszości, w jednym (Tarnopol) — są ilościowo równi Polakom. Rdzeń ich tworzą chłopi. Większej własności, jeśli nie liczyć majątków kościelnych, wśród nich nie ma. W formie zaczątkowej znajduje się fabryczny proletariat ukraiński. Struktura społeczna jednostronna, ale tem nie mniej wygodna. Przypomina ona łudząco strukturę Litwy lub Łotwy, poniekąd Estonii. Gdyby nie brak dostępu do morza, nicby nie stało na przeszkodzie usamodzielnieniu się Ukraińców i utrzymaniu przez nich niezawisłego państwa. Momentów politycznych tutaj nie poruszam.

Tak, czy inaczej („kruty ne werty") nie można o istnieniu narodu ukraińskiego zapomnieć. Czy powstanie kiedykolwiek „samostijna" Ukraina naddnieprzańska, czy nie powstanie — problemu ukraińskiego z polskiej polityki społecznej i gospodarczej wyeliminować się nie da. Będzie zawsze powracał „na tapetę" i kategorycznym głosem domagał się rozstrzygnięcia.

Wiekowa symbioza dwuch narodów na przestrzeni, zakreślonej granicami cytowanych województw, daje szanse uregulowania sprawy ukraińskiej ku obopólnemu zadowoleniu. Jednocześnie ta właśnie współzależność i sąsiedzkość jest zarzewiem stałych wzajemnych rekryminacyj i utrudnia dojście do porozumienia. Ilość punktów stycznych i płaszczyzn tarcia jest zbyt duża a przez to trudna do syntetycznego ujęcia. Trudno również oddzielić rzeczy ważne od mniej ważnych, gdyż niektóre drobiazgi są drażniące emocjonalnie i odgrywają przez to nieproporcjonalnie wielką rolę w kształtowaniu się całości stosunków Wydaje się, iż w zakresie stosunków polsko-ukraińskich są sprawy, do których obie strony nie chcą przyznać się nawet na wewnątrz, wobec samych siebie, że istotne motywy zajmowania tych lub innych stanowisk, dokonywania tych lub innych posunięć nie odpowiadają głoszonej motywacji. A że znamy się wzajemnie zbyt dobrze po tylu wiekach współżycia, to nic dziwnego, że próby porozumienia nie dają zadawalających rezultatów. Każda strona zachowuje swoją arrière pensée przyjmując świadomie fikcyjne założenie, że druga strona o tem nie wie.

Taki stan rzeczy, stan *niedomówień*, wiecznie jednak trwać nie może. Nie sposób pozwolić na tolerowanie *marnotrastwa* energii społecznej, która albo służy wzajemnemu zwalczaniu się obu narodów albo rozprzęga się, skoro jej nie używają ku tworzeniu rzeczy wspólnych a ważnych.

Wychodzimy oczywiście z założenia, że naród polski jest gospodarzem w swym Państwie, ale powinniśmy również uświadomić sobie, że Ukraińcy na ziemiach południowo-wschodnich są elementem oddawna zasiedziałym, a wiadomo, że inaczej traktuje się przybyszów, z którymi jeszcze „nie mieliśmy przyjemności", inaczej — dawnych, starych znajomych (a może nawet krewnych). Nie zamykajmy przy tym oczu na fakt, iż Ukraińcy wnoszą do naszego domostwa cały szereg cennych wkładów, że nie jest to element bierny, lecz — przeciwnie — czynny i to z każdym rokiem *coraz bardziej* czynny. Tymczasem rozmawiamy z nimi przez ścianę, udajemy wzajemnie, że się nie słyszymy, i łudzimy się, że nam jest z tem dobrze.

Tempo rozwoju chłopskiego społeczeństwa Ukraińców wzmogło się po wojnie w sposób imponujący. Nie obarczeni balastem historii, któraby im narzuciła wielki przemysł, handel i finanse, Ukraińcy nie potrzebowali nawet przeskakiwać, doganiać i t. p., jak my to czynimy wobec Zachodu, lecz zaczęli odrazu od punktu, który jest dla innych etapem na długiej i żmudnej drodze. Przystąpili więc do zorganizowania sobie życia gospodarczego i społecznego w oparciu o pracę *zespołową*, w której spółdzielczość „magna pars fuit".

Spółdzielnie ukraińskie, których dzisiaj mamy ca 3.500 na ogólną liczbę 12.000 kooperatyw związkowych (30%), zrzeszają ca. 450.000 ludzi, t. j. co 10-ty Ukrainiec należy do spółdzielni (z Polaków co 12-ty). Tworzą one gęstą sieć placówek drobnych i średnich, sięgają do wsi i przysiółków, wciskają się już do

miast i miasteczek, stopniowo wchodzą do Lwowa, a eksportem swego masła docierają na rynki zagraniczne. Pyżyczki, udzielone członkom przez ukraińskie spółdzielnie kredytowe, wyniosły pod koniec 1933 r. blisko 10 milj. zł.; członkowie ukraińskich spółdzielni mleczarskich zgłosili ponad 50 tys. krów i dostarczyli w 1933 r. 50 milj. litrów mleka; obroty spożywczych i rolniczo - spożywczych spółdzielni ukraińskich w tymże 1938 r. wyniosły niespełna 40 milj. zł. Ogół związkowych spółdzielni ukraińskich zatrudniał w 1933 r. 11.300 pracowników, których wynagrodzenie roczne sięgało 1,5 milj. zł., co daje 11 zł. przeciętnie miesięcznie na osobę. Dla polskich spółdzielni związkowych przeciętna ta stanowi 80 zł. Nawiasem dodajmy, że w tych ostatnich, których jest dwa razy tyle, co ukraińskich, ilość personelu była tylko nieznacznie większa.

Czego to dowodzi i dlaczego się nad tem zastanawiamy? Personel ukraińskich spółdzielni jest ilościowo rozbudowany, gdyż ludzie ci *nie mają ujścia* dla swych zdolności i nergii. Stanowiska urzędnicze są dla nich nieomal wykluczone (nie słyszeliśmy o Ukraińcu, zajmującym choćby miejsce starosty lub naczelnika wydziału we władzach centralnych), adwokatura jest w Małopolsce przeważnie w rękach żydowskich, a w każdym razie przeładowana ponad normę i potrzeby, unickie urzędy kościelne są również przepełnione [1]), zostaje więc handel (bo i przemysł dopiero w powijakach). Ale jak handel, to już uspołeczniony, zorganizowany, spółdzielczy. Ponieważ jednak spółdzielnie ukraińskie są małe i biedne, jak biednym jest chłop ukraiński, więc zatrudnieni w spółdzielniach pracownicy zadowolnić się muszą byle czym. A nie trzeba zapominać, że są to ludzie z wyższym, a conajmniej ze średnim czy specjalnym wykształceniem.

W polskich organizacjach powyższy układ doprowadziłby do ucieczki ludzi, zatrudnianych po 11 zł. miesięcznie. Ukraińcy nie mają dokąd uciekać. Ale dzięki temu są oni mocniejsi od nas ideą pracy *społecznej* i jej wykonaniem. Pracując w gorszych warunkach, pracują od nas lepiej. Gdy w polskiej spółdzielczości ilość członków jest ta sama w 1933, co i w 1928 r., to Ukraińcy ilość tę podnieśli o 50%. Obroty ich spółdzielni były w 1933 r. wyższe, aniżeli w 1928 r.; w spółdzielniach polskich jest odwrotnie. Oni idą naprzód, my stoimy w miejscu. Oni prowadzą ofensywę, my — defensywę.

A przecież kryzys i bieda gniotą ich z jednakową siłą jak polaków. Czy mają mniejsze wymagania? Możliwe, że tak lub że umieją je zaspokoić taniej. Są ruchliwsi, bardziej bojowi, przedsiębiorczy i uspołecznieni, mniej zato liczą na pomoc Państwa i biurokracji. Otrzymują przekazy pieniężne z Kanady, ale i nasi chłopi nie są „od macochy". W rezultacie stopniowo, systematycznie i z widomymi rezultatami posuwają się stale naprzód. Potrafili wyprzeć żydów — sklepikarzy i po swojemu znacjonalizować handel. Dzisiaj nie wystarczają już im wsie i miasteczka, lecz zaczynają szturmować do Lwowa.

Lwów, miasto „orląt", jest bodaj jedynym miastem w Polsce, które się nie rozwija. Póki było „królewskie" i „stołeczne", póki przebywały w niem centralne władze polityczne, samorządowe i gospodarcze ówczesnej Galicji — miasto rosło i kwitnęło. Odzyskanie przez Polskę niepodległości nie przyniosło Lwowu korzyści tak dużych, jak innym miastom. Z pośród miast, liczących ponad 100.000 mieszkańców, tylko Lwów i Wilno nie podwoiły swej ludności według jej stanu na początku bieżącego stulecia; od 1931 do 1936 r. w jednym jedynym Lwowie zaludnienie pozostało bez zmiany, gdy wszędzie ono wzrosło chociażby o 1 — 2%. Zato, gdy Warszawa według ostatniego spisu ludności liczyła 25.000 emerytów i inwalidów, Kraków 15.000, a Wilno 5.500, to Lwów liczył ich 24.000, stojąc pod tym względem na pierwszym (w stosunku do ludności) miejscu. Byłby to jeszcze jeden dowód cofania się Lwowa i przechodzenia do roli miasta drugorzędnego, miasta poza życiem, a w każdym razie — poza jego tętnem gospodarczym.

Ukraińcy w ofensywie, polski Lwów — w defensywie. Między Lwowem a okręgami z większością polską powiaty o przewadze Ukraińców; typowym przykładem jest sam powiat lwowski. Emeryci nie są w stanie dźwignąć i ożywić miasta, usiłują to więc uczynić ukraińskie kooperatywy. *Uprzemysłowienie* ziem południowo-wschodnich mogłoby w tej dynamice poczynić pewne poprawki. Ale w takim razie trzeba doprowadzić do tego, żeby przemysł nie trzymał się kurczowo ram, zakreślonych przez zabory i zaborców.

Z ukraińską ekspansją gospodarczą trzeba się poważnie liczyć i — co więcej — dać jej właściwe ujście w ramach polskiego gospodarstwa narodowego, gdyż załamanie się rozwoju gospodarczego społeczeństwa ukraińskiego nie byłoby korzystne dla Rzeczypospolitej. Koncepcja Polskiego Narodu Politycznego przewiduje wprzęgnięcie Ukraińców do kieratu, w którym już pracują polacy. Pracując na wspólnym odcinku, wspólną też ponosimy odpowiedzialność. Ponieważ nie możemy odciąć się ostrym nożem, musimy się scementować. My do was — wy do nas: po swoje, po *nasze*. Twórczy wysiłek Ukraińców i zadanie, jakie ciąży na narodzie polskim, gospodarzu i kierowniku, każą wybierać drogę nierównie trudniejszą od dzisiejszego schematu, w którym jest wszystko, tylko nie *współdziałanie*.

[1]) Jeden proboszcz rzymsko-katolicki obsługuje ca. 2 400 parafian, jeden ksiądz grecko-katolicki (unicki) tylko ca. 900.

NOTATKI

KOLEJE

Na Wystawie Metalowo-Elektrotechnicznej w Warszawie jednym z najbardziej dla publiczności atrakcyjnych miejsc jest stoisko (a raczej: torowisko) Polskich Kolei Państwowych. Przedmiotem podziwu i szczegółowej uwagi są piękne, imponujące masą i sylwetką parowozy, polskiej konstrukcji i od a do zet w Polsce wykonane, eleganckie i wygodne wagony osobowe, lub torpedy i t. d.

W tym samym niemal czasie, co wspomnianej Wystawy, nastąpiło otwarcie nowej linii kolejowej, łączącej Legionowo z Tłuszczem, przez co odciążony został węzeł warszawski, grożący w każdej chwili (nawet bez udziału bomb lotniczych) zakorkowaniem. Znaczenie gospodarcze nowego odcinka wzrośnie z chwilą zakończenia budowy linii Sierpc — Toruń i Sierpc — Brodnica, dzięki którym Ziemie Północno-Wschodnie otrzymają szybsze połączenie z Gdynią. Tak więc tych 40 kilka kilometrów może odegrać dużą a dodatnią rolę w cementowaniu gospodarczym kraju, w rozwoju gospodarczym Ziem Wschodnich i w zwiększeniu wykorzystania portu gdyńskiego.

Gdyby taki fakt, jak otwarcie linii kolejowej, miał miejsce w Rosji Sowieckiej, cała prasa poświęciłaby mu swe szpalty, a z uroczystości przecięcia wstęgi uczynionoby nieomal święto narodowe, państwowe i t. p. W kraju kapitalistycznym należałoby postąpić nieco inaczej, skromniej, ale bądź co bądź z udziałem nie tylko Naczelnego Wodza, ministra i ich świty, lecz również i sfer gospodarczych, instytucyj społecznych i samorządowych, młodzieży szkolnej etc.

Rok po roku przybywają w Polsce nowe linie kolejowe, zmniejszające nasze w porównaniu z Europą zaniedbanie i zacofanie. W latach 1918 — 1936 wybudowaliśmy z górą 1.700 km nowych linii normalno torowych, z czego większość o znaczeniu pierwszorzędnym. Stan posiadania, objęty po okupantach powiększyliśmy o 10%. Nie należy przy tym zapominać, że o ile w epoce markowej (1918 — 1923 r.) zbudowano 385 km, a w okresie „prosperity" (1924 — 1929 r.) — 452 km , o tyle lata kryzysu (1930—1936) dały ponad 850 km. Dawałoby to poniekąd odpowiedź na pytanie: czy bezrobocie należy rozładowywać przy pomocy robót publicznych, a jeśli tak — to czy mają to być roboty inwestycyjne o charakterze inwestycyj rentownych.

Pod wpływem rozwoju techniki samochodowej polska opinia publiczna skłonna jest nie doceniać parowozu i trakcji parowej. Nie wydaje się jednak możliwe przeskoczyć od furmanki do limuzyny, nie potrąciwszy o wagon osobowy lub towarowy. Pomijając okoliczność, że tylko autostrada ma swój pełny sens techniczny, należy od razu podkreślić, iż na autostrady jeszcze jesteśmy za — młodzi. Byłyby one w roli kwiatka przy kożuchu. Bardziej nam za to do twarzy z błyszczącą parą szyn. Nie mamy ich jeszcze zbyt wiele (5 km. na 100 km. kw. powierzchni, gdy w Belgii 16, w Anglii i Szwajcarii 13, w Niemczech 12 etc.), przy czym $^2/_3$ kraju posiada sieć kolejową poniżej przeciętnej ogólno polskiej, a cóż dopiero przeciętnej Zachodu. Jest więc nad czym łamać sobie głowę, zwłaszcza, gdy się nie chce złamać jej dosłownie, na kocich łbach i — co gorsza — na wybojach, noszących przez nieporozumienie nazwę szosy lub — horribile dictu — autostrady. Koleje nie darmo noszą nazwę żelaznych. I niszczą się mniej i rozbudować je łatwiej.

Znaczenie kolei jest tak wielkie i jasne, że nie ma co o nie kopij kruszyć. Wystarczy jedynie przypomnieć, że kolej to nie tylko określona ilość szyn, lokomotyw i wagonów, lecz również zespół urządzeń, tworzących — że tak powiem — przemysł kolejowy. Będą tutaj wchodziły w grę elewatory i magazyny stacyjne, urządzenia przeładunkowe, rampy i t.p., bez których nie można sobie wyobrazić współczesnej zorganizowanej wymiany towarowej. Każdy tak pomyślany budynek stacyjny, a raczej zespół tego rodzaju budynków, stanowić będzie punkt centralny (w skali, dajmy na to powiatu) podaży artykułów, zwłaszcza rolniczych.

Dlatego też każdy nowy kilometr linii P. K. P. należy witać jako zapowiedź i warunek ulepszenia techniki obrotu i — co najważniejsze — zwiększenia zasięgu wymiany towarowej, podnoszącej dochód społeczny w zacofanym kraju.

z. i.

HANDICAP

Nigdzie frazes o wyścigu pracy nie brzmiał tak fałszywie i nieszczerze jak w Polsce. Bo pod słowa te kładzie się treść: wyścig samoudręczenia i marnotrawstwa pracy.

Przykłady: Handel wewnętrzny: handel ziemiopłodami został rozpłatany na monopol PZPZ. i na drobny handelek lokalny. Większe jednostki zostały zdławione. Po co? Cytując tę dziedzinę bowiem na tym właśnie przykładzie Adam Smith objaśniał gospodarczą rolę handlu. Drogi — budowane są z asfaltu, materiału najmniej dla naszych warunków odpowiedniego. (Nb. w tym roku jest inaczej) Liczne plomby makadamowe smołowane w dziurach asfaltowych dziś są dowodem, że należało się zdobyć na kosztowniejszą lecz trwalszą nawierzchnię. Lub trzeci przykład. Przerosty włókiennictwa były długie lata pieczołowicie chronione przed bankructwem. Rezultat: gruntowna demoralizacja całej branży.

Albo z dziedziny stosunków z obcymi: Zamrożone należności można łatwo (względnie... nie łudźmy się) odmrozić via Zahan i Bank Polski — bez stwarzania nowego organizmu. Tymczasem właśnie „życie gospodarcze" w osobie swych „reprezentacyj zawodowych" rozważa projekt utworzenia ad hoc instytucji emisji walorów średnioterminowych. Jest to zagadnienie zupełnie odrębne. Potrzeba takiej instytucji może i istnieje, ale zagadnienie zamrożeń nie jest tej potrzeby przyczyną.

Najwyraźniej czczość frazesu o wyścigu pracy występuje w dziedzinie uzbrojenia przemysłu. Zagadnienie czy rozbudowa pewnej zdolności produkcyjnej potrwa 3 miesiące czy pół roku jest niezmiernie ważne. Częstokroć po pół roku rola nowej zdolności wytwórczej jest znakomicie mniejsza, niż natychmiast. Otóż nie w każdej dziedzinie można stworzyć warsztat produkcyjny, stojący technicznie na wysokości konkurencji międzynarodowej i nie korzystający z doświadczenia tej konkurencji. Najtańszy sposób to kupno najlepszych maszyn i instalacyj, to sprowadzanie gotowej części wymiennej ostatniego typu aby potem dalsze można było w kraju zrobić.

W zasadzie jest to możliwe i dla polskiego przemysłowca. W zasadzie. Albowiem w praktyce czas i trud wyrabiania pozwoleń stwarza zniechęcenie. Kupuje się więc maszynę krajową, która jest równie dobra, jak model obcy z przed 3-ch lat i nowy warsztat produkcji nie jest na wysokości zadania — nie może zwyciężać w wyścigu pracy.

Albo inna dziedzina. Przemysł ciężki opiera się i w odbiorcach i w dostawcach na przemyśle drobnym. Pewne części instalacji, podlegające zużyciu są kupowane w zakładach specjalnych. Te zakłady po 2 lub 3 na cały przemysł europejski dostarczają coraz to doskonalszych wyrobów swym klientom — z wyjątkiem polskich.

Bo polski klient, który ma przesłać np. do przeszlifowania pompkę ze stali chromowo-niklowej nie może jej wysłać w obrocie reparacyjnym, gdyż stal ta jest zbyt twarda by ją znaczyć. Musi więc kupować nowe pompki, uzyskując na nie po miesiącach odpowiednie pozwolenie przywozu. Rezultat: więzienie bezcelowe kapitału w drogiej stali niklowo-chromowej w postaci nieużytecznej. Czeka ona ad feliciora tempora, kiedy wogóle może być niepotrzebna.

Polska jest krajem o braku kapitału. Wiemy o tym. Tem chętniej jednak marnujemy go w sposób urągający elementarzowi gospodarczemu. Pomijam przysłowiowe pałace sportowe. Idzie mi o nową inicjatywę w kierunku zaprzepaszczania kapitału. Prasa donosi o projekcie udzielania rzemiosłu kredytu bezprocentowego. W bagnie kredytu reglamentowanego, który trwa u nas pomimo zgubne skutki, byłby to zaiste kwiat paproci. Jesteśmy więc tak zasobni w kapitał, że stać nas na zapomogi dla tych, których warsztaty nie mogą odrzucać zysku na pokrycie procentów...?

I to wszystko przy akompaniamencie przesadnych słów. Nie mówi się w Polsce „szosa", lecz „autostrada". Mówi się „postęp motoryzacji" z racji przyrostu paru tysięcy kieszonkowych samochodów. Gdyby brać na serio radiowe wiadomości o eksporcie polskim, możnaby myśleć, że mamy wywóz o skali Wielko-Brytyjskiej i zasięgu światowym.

Po co?

Aby się upajać frazesami?

Czas przestać się bawić w politykę gospodarczą. Czas myśleć nad skutkami tego co się robi.

k. ost.

INWESTYCJE HOTELOWE

Turystyka stała się po wojnie jednym z najżywszych odcinków aktywności, organizacji i propagandy. Im większe utrudnienia dewizowe i paszportowe, tym więcej ludzi jeździ z kraju do kraju. Wyjazdy te są z reguły organizowane i przeprowadzane przez biura podróży, ofiarujące uczestnikom wycieczek maximum przyjemności za minimum kłopotów.

Polska jest krajem egzotycznym nie tylko dla cudzoziemców, ale również dla swych własnych obywateli. Zabory żyły odcięte od siebie i dopiero niepodległość pozwoliła przerzucać się z jednej dzielnicy do drugiej, poznawać wzajemnie piękno i bogactwo kraju. Wycieczki szkolne, naukowe, okolicznościowe i t. p., wyjazdy do miejscowości zabytkowych i kuracyjnych, imprezy w rodzaju targów i wystaw: wszystko to przyczynia się do sezonowej migracji tak w okresie letnim, najbardziej pod tym względem intensywnym, jak i w zimie, odkąd „odkryto" urok sportów zimowych. Niezależnie jednak od wyjazdów, „dla przyjemności" i w celach dydaktycznych mają miejsce przejazdy w celach zarobkowych, handlowo-przemysłowych, zawodowych i organizacyjnych.

Podróżny interesuje się krajobrazem, folklorem i zabytkami przeszłości, a równocześnie pragnie choćby chwilowego wypoczynku. Znajdzie go w hotelu, gospodzie lub pensjonacie. Podróżny z Zachodu (a nawet z Polski Zachodniej) poszukuje czystego hotelu z garażem, bieżącą ciepłą i zimną wodą, ogrzewaniem centralnym, elektrycznością, windą i telefonem. Podróżnemu z Kozich Głów imponuje kaloryfer i żarówka elektryczna, a na umywalnię patrzy ze zdziwieniem, bo „przywykszy" do miski i dzbanka. Stąd dwie kategorie gości hotelowych i dwie kategorie popytu: jedni domagają się wygód i kultury, drudzy wolą byle co i byle jak, aby tylko dużo nie kosztowało. Hotelarze to rozumieją i dlatego najczęstszym typem jest hotel o prymitywnych urządzeniach i wygórowanej cenie. Szczególniej pod tym względem celuje hotelarstwo b. zaboru rosyjskiego, gdzie przed wojną przeciętny gość hotelowy miał dużo wolnej gotówki i niewiele potrzeb w zakresie jakości mieszkania.

Stan obecny w hotelarstwie jest zły i nie przyczynia się ani do pogłębienia kultury podróżniczej w Polsce, ani do zwerbowania większej ilości turystów zagranicznych, ani też do podniesienia ich opinii o naszym kraju. Posiadamy obecnie ca. 1.600 hoteli, hotelików i pensjonatów, z czego mniej więcej 1/8 przypada na miasta duże, liczące ponad 100.000 mieszkańców. Jest rzeczą charakterystyczną, że stolica kraju może zaofiarować swym gościom nocleg i odpoczynek zaledwie w 70 kilku hotelach i pensjonatach, dysponujących raptem 2.700 pokoi. Dla porównania stwierdzamy, że pięciokrotnie mniejszy Kraków ma w swych blisko 30 hotelach i tp. przeszło 900 pokoi. Gdy się również zestawi taką np. Bydgoszcz (120.000 mieszkańców — 10 hoteli — niespełna 300 pokoi), z Częstochową (120.000 mieszkańców — 5 hoteli — ca. 100 pokoi), otrzymamy obraz jaskrawego zaniedbania b. dzielnicy rosyjskiej. Takie same wnioski nasuną się przy porównaniu dwukrotnie większej Ło-

dzi (7 hoteli — ponad 500 pokoi) ze Lwowem (37 hoteli — z górą 1.000 pokoi).

Mała ilość hoteli i pokoi hotelowych świadczy o monopolicznym charakterze tych przedsiębiorstw usługowych. Rezultat jest prosty: drożyzna. Za taki sam pokój, z minimalnymi zresztą wygodami, płaci się w Kielcach 2 — 3 razy tyle, co na Pomorzu. A przecież i tu i tam hotele zbudowano przed wojną, zamortyzowały się one w 100%-ch, a do Kielc przybywa więcej gości i turystów, niż do Chojnic lub Świecia. Nie należy również zapominać o tym, że monopoliści hotelowi b. dzielnicy rosyjskiej celują w prymitywizmie oferowanych przez siebie „usług". Na wspomnianą liczbę 1.600 hoteli i pensjonatów tylko 320 posiada garaże, a 150 wodę bieżącą, przy czym ta ostatnia występuje w b. dzielnicy rosyjskiej dosłownie w 30 hotelach (z czego blisko połowa przypada na Warszawę). A więc żadnych udogodnień, żadnych inwestycyj — wzamian za to drożyzna cennika i — siennika.....

„Pokaż mi swój dom, a powiem ci, kim jesteś". Zamiast słowa: dom użyjmy słowa: hotel, a będziemy mieli przesłanki do akcji, w której inicjatywa prywatna ma pełne i piękne pole do popisu. Minister Składkowski kazał wymieść śmieci: kto każe puścić gorącą i zimną wodę?...

br.

ULGA CELNA 0%

Doszliśmy w chińszczyźnie naszej administracji stosunków z obcymi do tego stopnia doskonałości, że dziwaczna z pozoru propozycja ulgi celnej, której wysokość jest równa zeru, nabiera sensu.

A nabiera dlatego, że przy sprowadzaniu całkowitych instalacyj tylko część ich nadaje się do udzielenia ulgi. Inne części są wyrabiane w kraju. Dostawca zagraniczny jednak gwarantuje za pracę instalacji tylko o tyle, o ile całość będzie przez niego dostarczona, zmontowana i puszczona w ruch. Całość składa się z kilku części. Część A uzyskuje ulgę, część B może być sprowadzona za pozwoleniem przywozu. Część C może być sprowadzona tylko z kraju X, bo kontyngentów z kraju Y właśnie brak do końca roku. A część D w ogóle nie może być sprowadzona, bo umowa z żadnym z krajów nie przewiduje kontyngentu na taki artykuł Taryfy Celnej.

Dostawca i odbiorca patrzą na siebie poprzez łączkę Związku Metalowców i poprzez filtry obustronnych reglamentacyj przywozowych i transakcja się rozpada. Bez gwarancji kupujący nie kupi. Bez dostawy całości sprzedający nie da gwarancji.

Duża firma mająca stosunki w Warszawie da sobie radę, posyłając najętego ad hoc „Chodataja po diełam" od C.P.K. do M.P. i H. i od Związku Metalowców do Dep. Celnego. Ale mniejsze przedsiębiorstwa nie są w stanie pokonać tej przeszkody. Często nie rozumieją ważnego distinguo pomiędzy rurą żeliwną kwasoodporną, na którą jest kontyngent z Francji, a kolankiem żeliwnym kwasoodpornym, na który kontyngentu nie ma.

I tu dopiero nabiera sensu ulga bez ulgi. Daje możność sprowadzenia poza kontyngentem, poza C. K. P. reszty instalacji, która nie uzyska aprobaty Dep. Celnego do udzielenia ulgi pieniężnej.

s. m.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA" ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: SZPITALNA 4· TELEFON 676-73 KONTO P. K· O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.